

Prof. dr hab. Andrzej Zieniewicz

**Recenzja rozprawy doktorskiej mgr Magdaleny Amroziewicz
Poza krąg Kwadrygi. Światopogląd poetycki Władysława Sebyły i Lucjana Szenwalda
 napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Joanny Zach**

1.

Obszerną, wnikliwą, drobiazgowo niekiedy skrupulatną dysertację rozważającą swoistości światopoglądów poetyckich Władysława Sebyły i Lucjana Szenwalda czytam jako ciekawą i w samym pomysle, i w jego realizacji, próbę odpowiedzi na pytanie o gospodarowanie własną sztuką poetycką przez obu autorów. Tak to ujmę, by wskazać, że Autorce, gdy pisze „światopogląd...”, musi chodzić o coś więcej niż o „poetykę” (sformułowaną czy immanentną), bo obaj bohaterowie rozprawy na pewno jej nie „formułowali”, a już zwłaszcza na awangardowy sposób. Sebyła przecież uważał awangardę za „blaszanki słów” nowoczesności cywilizacyjnej, a Szenwalda zaciekało coś dokładnie przeciw-awangardowego, czyli lanie młodego wina w stare dzbany. Poza tym „teoretyzowanie” o poezji Sebyła miał za nonsens, a Szenwald za taki sam nonsens miał awangardowe „odrzuć” tradycji. Zresztą obaj myśleli muzycznie, a nie teoretycznie, jeden grał na skrzypcach, drugi na fortepianie, obaj też zaczytywali się, jeden w Hoene-Wrońskim, a drugi w Grekach i Rzymianach (czasem w Żirmundskim). Sebyła był przy tym integralnym pesymistą zapatrzonym w pustkę po absolicie, a Szenwald marksistą odurzonym wizją natury-cywilizacji jako archeologii procesów przemocowych, kłębowa wyzysku i rewolt. Obaj mimo to wierzyli w poezję „ocalającą”, i obaj odeszli ze świata (jeden zamordowany, drugi w wypadku), gdy spełniali żołnierski obowiązek. Napisali też „podobne” wizyjno-filozoficzne poematy, Sebyła „Młyny”, a Szenwald „Kuchnię mojej matki”, które są o tym samym, ale dokładnie z przeciwnej strony.

Żeby teraz przymierzyć takich twórców do jednego studium trzeba przygotować grunt. I stąd w tytule rozważań światopogląd poetycki, jako kategoria zbierająca problemy z porządku jednocześnie języka, idei, biografii i wyobraźni poetyckiej, bo one się w wypadku obu poetów w ogóle nie dają separować, i stąd „poza krąg Kwadrygi”, bo ona, między Skamandrem a Awangardą, po trochu rewolucyjna, a po trochu spragniona awansu środowiskowego, obu poetów cyganeryjnie adresuje, ale ich na pewno intelektualnie nie ogarnia. Zrozumiałe więc są ramujące określenia z tytułu pracy, natomiast jej **istotnym novum** jest pomysł by tych dwóch, tak odmiennych autorów opisać jedną kategorią interpretacyjną, mianowicie Rodziców, przy czym poezja Sebyły opowiadałaby się wobec Ojca, a Szenwalda – wobec Matki.

By jednak tę kategorię wyprowadzić z dowolności interpretacyjnej, trzeba ją zakorzenić historycznie, biograficznie i socjo-psychologicznie, i temu służy cała pierwsza część dysertacji, rozwinięta opowieść o Kwadrydze, oraz uzasadnić emancypacyjnie, tzn. opisać jako ruch wyobraźni poetyckiej, i jako potrzebę psycho-imaginacyjną, przeboleń doświadczenia kryzysowego, mającego u obu autorów wymiar metafizyczny i katastroficzny. U każdego odmienny, ale podobny w funkcji formatującej osobowość. Osobowość porażoną i szukającą gwarancji sensu, a tą gwarancją staje się / nie staje się u Sebyły figura obecnego / nieobecnego Ojca (Boga), a u Szenwalda opiekuńczej / nie opiekuńczej Matki (Natury). Odnotuję od razu, dlaczego pomysł uważam za świetny. **Otwiera bowiem drogę (nieprzetartą)** do zapoznanego myślenia o reakcji (poetyckiej) na kryzys kulturowego ładu **innej** niż wyobrażenie śmierci Stwórcy i pustego nieba. Gdy w tej imaginacji w ogóle nie wiadomo co zrobić z kimś takim jak Lucjan Szenwald, który utraconych gwarancji poszukuje w świecie gorącym, krwawym, geo-roślinnym i patologicznym, a wyobrażenie kryzysu ma archeo-filologiczne, greckiej

głowy zwalonej z postumentu, leżącej obok szkieletu dinozaura. O Bogu zaś, ani mru-mru. Owszem, jest o Matce, w sensie narodzin i śmierci, krwawych, nieuchronnych, ale ostatecznych - jako żywa plazma bycia, a nie zimna otchłań nicości. Jest wielką zasługą autorki dysertacji, że tę drogę przeciera (znakomity w pracy pomysł materialistycznej metafizyki Szenwalda), choć może sama naczytana filozofów religioznawców, Charlesa Taylora, Jana Andrzeja Kłoczowskiego, lepiej słyszy bezboże Sebyły niż Szenwaldowy materializm.

Jednak stara się słyszeć, i cała pierwsza część dysertacji daje wnikliwe pojęcie o tym, z czego ta odmienność w podobieństwie wynikała. Daje pojęcie o „kręgu” kwadryganckim, który jest jednocześnie kształtowanym słownikiem życia-myślenia debiutujących poetów. Coś jak *life writing*. Sfera dokumentacji życia, z wyraźnie wskazanymi, ważnymi dla obu poetów, osobistymi akcentami. Opowieść o Kwadrydze grupie i o „Kwadrydze” piśmie, arcystarsanna w sensie historycznoliterackim. Odnotowuję od razu; bogata faktografia, sugestywnie zobrazowane tło społeczne i literackie grupy, liczne odwołania do stanu badań, a więcej, uobecnienie tego stanu badań we własnej narracji literaturoznawczej, sięganie do archiwum, przywoływanie wypowiedzi kwadrygantów, brane nawet z zamierzonych audycji radiowych. I wszystko sprawnie zorganizowane wokół ważnej tezy, że dla obu poetów Kwadryga była **kolebką talentu i miejscem dojrzewania**. **Kolebką**, z której się obaj, na różny sposób wyrwali, i stąd potem u obu motyw utraconego domu-dzieciństwa poezji. I stąd Rodzice. Utraconego domu poezji optymistycznej, w sensie możliwości przeciwstawienia światu radości pisania. Oraz **miejscem dojrzewania**, czyli narodzin i formowania ważnych wyrazów życia-myślowego słownika. I teraz - od strony „kolebki” mamy dobrze dokumentowane wskazania, że obaj poeci byli, by tak rzec, mistrzami samoświadomości talentu. Nie pisali programów, choć wśród odmienności skamandryckich i futuro-awangardowych wyrosli, ale w ich wierszach ważna jest, tworząca **materię wiersza** (a nie abstrakcyjny meta-poziom rozmyślań) myśl o tym, czym jest/ma być poezja, jak ją robić, i jak bardzo ta robota zahacza o sprawy ostateczne, historyczno-cywilizacyjne i metafizyczne, niepomiernie istotniejsze, niż spór o skamandrycką felietonowość czy awangardową szaradę. W tym sensie obaj poeci faktycznie bardzo radykalnie wyrывают się z kolebki Kwadrygi, zamkniętej wszak w sporach o poezję (deklaratywnie) rewolucyjną, i (po krakowsku) awangardową Ale – i to mamy od strony „miejscu dojrzewania” - cała ta problematyka rozpada się obu poetom jakby na dwie sfery. Sferę wątków osnuwanych wokół spraw społecznych, pacyfistycznych, lewicowych, w imaginacjach dyskursywnie politycznych, albo sferę wyobrażeń historiozoficzno-metafizycznych, wywodliwych z „dyskursu” misterium i katastroficznych uczuleń. Przy czym obaj autorzy podobnie-odmiennie przeżywają rozbieżność tych sfer. Na planie „politycznym” jako nieostateczność i niewystarczalność poezji, tak samo zaangażowanej, jak pietystycznie estetyzującej. I u Sebyły będzie to kryzys pacyfizmu, gdy u Szenwalda kryzys poetyki skamandryckiej, a potem kryzys realizmu socjalistycznego. Ale na planie wyobrażeń historiozoficzno-metafizycznych sprawa okaże się niepomiernie bardziej skomplikowana, w postaci głębokiego, i innorodnego u każdego z poetów, zaburzenia-zachwiania całego warsztatu poetyckiego; ba!, artystycznego sensu poezji samej, i to zaburzenia psycho-imaginacyjnego, doświadczanego w kategoriach wizji, lub jej neantyzacji, a wcale nie jakichś szczegółarskich sporów, np. o metaforę. I teraz – na tym pierwszym, powiedzmy, „plakatowym” planie twórczość Sebyły i Szenwalda jest w rozprawie Doktorantki nie tyle omawiana, ile rzutowana na tło dziejów grupy i okołgrupowych spraw, komeraży, poetyk, wzorów osobowych, odwołań do patronów, jak Norwid, czy Brzozowski, i innych kwestii, o których za chwilę. Natomiast na tym drugim, głębszym, „mysteryjnym”, imaginatywnym poziomie odniesień Autorka dysertacji rozbudo-

wuje wywód interpretacyjny, wskazujący, że u Sebyły reakcją na to „zaburzenie metafizyczne” będzie kreowanie poezji jako „dialogu w ciemności”, poezji wobec pustej transcendencji (Hugo Friedrich) i wobec „utruty” słownictwa epifanii, a u Szenwalda – uwaga! - coś jeszcze bardziej skomplikowanego, czego sama autorka interpretacyjnie nie dorysowuje do końca, ale, rzecz można, wskazuje drogę.

I o tym głębszym poziomie jest cała druga część rozprawy. Jak stwierdziłem wcześniej – rozprawy bardzo kompetentnej, wnikliwej w ustaleniach i inspirującej w pomysłach. Natomiast w pierwszej części pracy, do której chcę wrócić, Autorka rozwija, co ważne, trochę inną opowieść o Kwadrydze, iż ta, która ułożyła się w lwiej części badań literaturoznawczych. Inną w sensie systematycznego gromadzenia przesłanek dla tych późniejszych dylematów (meta)poetyckich Sebyły i Szenwalda. Zwłaszcza przesłanek dotyczących tła kultury literackiej, literackich dyskusji, stref wpływów (którym ulegali), układu dyskursu zupełnie innego niż „programowy”, bo dotyczącego „inflacji poezji” (Sebyła), czy możliwości reaktualizacji poezji antyku (Szenwald). I tu wskazuje Autorka, jak istotny w Kwadrydze był antymieszczkański refleks myśli, wspólny Sebyle i Szenwaldowi, tak samo w sceptycyzmie wobec skamandryckiej elitarności-koteryjności, jak w „instynkcie klasowym” uczulenia inteligencji w pierwszym pokoleniu (choć ani Sebyła, ani Szenwald takimi inteligentami nie byli) na narastanie napięć historyczno-społecznych, wobec których i Krakowianie i Skamandrycy jakby się dystansują. A wszak te same uczulenia mieli Żagaryści, i Lublinianie, i istotne są tu też wątki antyklerykalne (Nina Rydzewska) - czyli sposoby „wrywania się” z kolebki inne, szersze, wyraźniej w uniwersalizm wycelowane, niż programowe czy bezprogramowe liternictwo. Autorka opowiada tu Kwadrygę, gromadząc ważne „życiowe”, biograficzne i społeczno-kulturowe elementy do kształtującego się słownika imaginacji kwadrygantów. Błuznierczy wiersz Sebyły porównywany z Bąkiem (choć to początek drugiej części) i narzekanie Dobrowolskiego na „ideową letniość” kolegów z grupy, rozumienie pracy u Norwida, wpisanej (cywilizacyjnie) w piękno wiersza, i Brzozowskiego pracy jako odcisniętej w wierszu historyczności, także jako trwałej siły narodowej, i przestawianie się obrazu historii, w pokoleniu Sebyły i Szenwalda, z wyobrażeń deterministyczno-finalistycznych na determinizm „krwawego dialogu”, i współczesna temu idea poezji pracy i sugestywności mowy wiersza, i wyczytywana u Gałczyńskiego osobność sylwetki artystycznej jako wartość, i kształtowanie się obrazu Kwadrygi ex post we wspomnieniach samych poetów i ich przyjaciół, i w dyskusjach literaturoznawców, i inne kwestie - to właśnie te pozbierane przesłanki później umożliwiające wiarygodne referowanie metafizycznych przesileń w duchowości obu poetów. Jak konkluduje Autorka, pragnie w tej części uobecnić „cały potencjał transgresji, przekraczania i wyswobodzenia się, jaki zawiera słowo ‘poza’” (s.77) (domyślnie: poza krąg Kwadrygi). I ten właściwy temat i motyw przewodni rozważań pierwszej części pracy zostaje zrealizowany doskonale. A rzecz jest w pisaniu trudna, ponieważ musi przywołać mnóstwo wypowiedzi literaturoznawców, krytyków, dawców wspomnień, różnorodnych świadectw, całą tę obfitość zdokumentować, sprobematyzować i uporządkować we własnej narracji, nie gubiąc w niej jednoczesności „wyswobodzenia się” dwóch poetów, rozpoznawanych właśnie w nie-podobieństwie, a podobnych w sensie wyższym, czy głębszym, w reakcji na kryzys kultury, a jeszcze dodajmy, że ci poeci widziani bywają przez wielu cytowanych badaczy najczęściej wedle sprawdzonej recepty Tuwima, mianowicie - oddzielnie. Sebyła jest w tym widzeniu dokładnie kimś innym niż Szenwald, a Szenwald z „Rewolucjonistki”, to przecież antyteza Sebyły z „Obrazów myśli”. I wprowadzenie obu poetów z takiego mieszczańskiego horyzontu oddzielności, bo wszak jeden był mistykiem pisującym w „Zecie”, a drugi marksistą pisującym ulotki, więc gdzie Rzym, gdzie Krym, jest doskonale zrealizowanym zadaniem dysertacji. Ukazaniem w

horyzoncie (dogasającej) epoki, fascynującego podobieństwa dwóch twórców, którzy „wyrывают się”, każdy inaczej, próbując dać wyraz pragnieniu poezji odniesionej do jakiejś najważniejszej myśli życiowej (a nie do sporów o grzechrzółki), i do najważniejszego obowiązku artysty. Ten obraz imaginacyjny, jaki rysuje się w pierwszej części dysertacji jest jej autentyczną zdobyczą badawczą. Najpierw obraz Kwadrygi przesuniętej w konfiguracjach personalnych z poziomu lewo-prawo, na poziom tych, których doczesna aktualność sporów epoki ogarnęła i zamknęła (przecież tak samo Flukowskiego jak Maliszewskiego, tak samo Dobrowolskiego jak Rydzewską), i na tych, którzy próbowali „wyrwać się”, wyjść poza „krąg” (trzecim „wyrrywającym się” byłby pewnie Gałczyński). A dalej, obraz obu przedstawionych w dysertacji poetów, Sebyły i Szenwalda, co są „jak w parze jakiejś miłosnej sparzeni” (Gombrowicz) w podobieństwie reakcji na kryzys poezji optymistycznej – „także w głębszym, zawodowym znaczeniu, w jakim np. Mallarmé był optymistą” (Czesław Miłosz). I, jak myślę, ten zarysowany obraz transgresji z epoki jest dziś znacznie bliższy naszym wyobrażeniom o „krainach poezji” dwudziestolecia międzywojennego, badanych Bachelardem, Jungiem, Blumem, i daleko więcej mówi o samych poetach, niż refleksje o odmiennościach ich „języków poetyckich”, rozpiętych między dogasaniem „metafizycznych gwarancji”, a futuro-awangardową arbitralnością. Rzecz jasna, schematyzuję, ale po to, by wskazać na sens porównania odmiennie-podobnych metafizyk Sebyły i Szenwalda, bo to ich transgresyjne usytuowanie jest dobrą robotą literaturoznawczą Autorki. Tę część pracy zamyka omówienie biograficznych i artystycznych kolei losów obu poetów w latach między przewrotem majowym a wielkim kryzysem, potem w latach trzydziestych, aż do wojny, i dziejów wojennych obu twórczości, tragicznie krótkich w wypadku Sebyły i raczej pootwieranych pytaniami, niż szczegółowo zinterpretowanych w wypadku Szenwalda. Ważne są tu jednak ustalenia, że przesilenia twórcze obu autorów lokalizują się jakby w czterolecie 1926-1931, więc między majem Piłsudskiego a depresją gospodarczą Europy, i że mają twarde „życiowe” podstawy; u Sebyły przejścia od poetyki pacyfistycznej w pesymizm i mistycyzm, a u Szenwalda odejścia od poezjowania w robotę partyjno-propagandową. To są trudne, dyskusyjne i interpretacyjnie bardzo jeszcze „pootwierane” zagadnienia, ale istotna wydaje mi się konkluzja pierwszej części dysertacji, że w drugiej połowie lat dwudziestych, właśnie wtedy, kiedy wygasa boom futurystyczno-awangardowy, przez dwie inno-podobne poezje Sebyły i Szenwalda przesuwają się metafizyczna smuga cienia jako podjęcie zagadnień nierozwiązywalnych w trybie „poetologicznych”, aktualnych sporów epoki, i że szaloną próbą rozwikłania tych kwestii są dwa, swoiście równoległe poematy-halucynacje, „Kuchnia...” i „Młyny” (a może cały „Koncert egotyczny”). Tak istotnie było, a nikt tego dotąd wyraźnie nie zobaczył i nie opisał. Czyli: **bardzo znaczące ustalenie historycznoliterackie**; dodaje ważny obraz do dziejów literatury dwudziestolecia.

I teraz pora na przyjrzenie się tym poematom, na omówienie drugiej części dysertacji, zatytułowanej „Bóg ojciec i matka Natura”.

2.

Autorka opowiada oboje Rodziców w sposób trochę przypominający *figure fulfilment* narratywistów. Bo Ojca Sebyły i Matkę Szenwalda prezentuje w podobnym schemacie wypełniania się (samorealizowania) „wizjonerskich kondensacji obrazów”, idących od głównego mityczno-archetypalnego przedstawienia do jego rozwijanych kontekstualizacji filozoficznych, kulturowych, poetologicznych. Dla Sebyły tym przedstawieniem residualnym będzie „dialog w ciemności” utraconej / zaprzeczonej poezji religijnej, a wokół niego Autorka zreferuje historię sporów o tę poezję religijną, od wystąpień krytyków z połowy dwudziestolecia, aż po

rozważania Błońskiego. A dla Szenwalda residualne będzie „ciemne łono” Natury jako ambivalentnej siły rodzenia / unicestwienia, a przy okazji Autorka zreferuje historię sporów o materię, od Demokryta, do kłótni o realizm socjalistyczny, gdyż Szenwaldowi refleksję metafizyczną nakręca zarówno „zanurzenie w kulturę antycznej Grecji”, jak miejsce człowieka w materialistycznie zideologizowanym świecie. I takimi szeregami erudycyjnych, a interpretacyjnie pomysłowych zestawień Doktorantka buduje symetryczny dla obu poetów wywód pragnący ujawnić w odmiennych kosmogoniach ich wspólną metafizyczną akcentuację. Odróżniając poezję religijną od „wyznaniowej”, w wypadku Sebyły, a u Szenwalda akcentując finalizm materialistycznej przemiany życia w nicłość. A dalej wskazując, jak Sebyle poezja ginie w ostateczności bezboża, gdy Szenwaldowi w ostateczności schematyzmu. Jak Sebyle pytanie „skąd zło?” jawi się w „zstępowaniu mocy” bożej obecności / nieobecności, a Szenwaldowi musi „wrywać się” poza namierzanie wrogów klasowych, albo istnieje „w przerażających torturach, jakim poddawane są żywe ciała zwierząt i roślin, ale w niepodzielnym reżimie jednej, jedynej substancji, czyli podejrzanego o nieśmiertelność materii śmiertelnych form”.(s.128) Rozmyślenia wokół tych paralelizmów filozoficznych układają się Doktorantce w studia bogate, interpretacyjnie głębokie, i pasjonująco dyskusyjne, jak kwestia, czy odpowiednikiem nicości Sebyły byłby „stechniczowany Hades” Szenwalda, i czy wolno tak, inspirując się Heideggerem, nazwać „Komentarz drugi” z „Kuchni...”? Nie mogę się nad tym zatrzymać, wobec obowiązku przedstawienia całej symetryczno-szkatułkowej architektury rozważań Autorki. Następne więc dwa rozdziały będą odpowiednio o Imionach (ojca) i Obliczach (matki). Dla Sebyły rozwinięte w kontekst biograficzny osierocenia, ale potraktowanego Lacanem (w opozycji prawa i pragnienia) tak, że „horyzont, w którym porusza się człowiek Sebyły mówi o Ojcu przede wszystkim poprzez jego nieobecność (...) mówi nieustannie i nawet wówczas, gdy pozornie traktuje o czymś innym”.(s. 164) Skąd rysuje się przejście do apofatyczności (teologii negatywnej, więc teologii osierocenia) jako ramy interpretacyjnej poematów autora „Młynów”, przejście otwierane dalej w dyskusję o umieraniu Boga, od Nietzschego do post-sekularyzmu, a kontekst społeczny znowu ujęty zostaje jako cywilizacyjny wyścig szczurów (autorski zwierzak Sebyły), prowadzący (nihilistycznie) do otchłani. W skutku, wiersz to imaginacja świata porzuconego przez Ojca, i w ruchu ku nicości. To „świat widziany oczyma porzuconego dziecka – świat wyblakły, niebezpieczny, o wiecznie zwichniętej strukturze”. I dalej – „anihilujące figury szczurów i młynów warto zachować w pamięci, by móc je skonfrontować z narzędziami wypełniającymi podziemne kuchnie Lucjana Szenwalda.(s.171) Zatem symbolika kosmicznych otchłani, przeciw materialistycznym podziemiom. W takich właśnie paralelach Autorka dyskutuje obu poetów.

I następny rozdział części o Szenwaldzie, rozważy jako odpowiedniki Imion (ojca), różne Oblicza (matki). Ułoży problematykę Natury w trzech matczynych „obliczach”: w pytania o prawa świata, w wątek rodzenia się w bólu, więc rzezi jako zmiany, i w pytanie o sprawcę, względnie bezimienną przyczynę. Aspekt prawa rozważony zostanie w astronomicznej nieuchronności geo-lunarnych obrazów (matki ziemi i dziecka satelity), ale też w nocnej bojaźni i trwodze, i ten wątek poprowadzi do Melanii Klein i matki okrutnej, a stąd blisko do imaginacji okrucieństwa przemian, tygli w „Kuchni mojej matki”, i rozważań „przymierza z ziemią” (tak to kiedyś nazwał Piotr Kuncewicz) jako kategorii imaginatywnej Szenwalda, a także poematów katastroficznych Drugiej Awangardy. I dalej narracja pójdzie w kierunku iuvenilów poety i ich pokrewieństw z Tuwimem i futurystami, z przedstawieniami – już „rewolucyjnymi” - rozjuszonej natury i demonicznych sił kobiecości, i w tych rozważaniach mnóstwo ważnych sugestii interpretacyjnych, a także ciekawie poetwieranych pytań – np. czy zagłada,

okrutna w kobiecości, była jakoś pociągająca dla Szenwalda? Albo, jak te metafory okrucieństwa ewoluują od katastroficzno-ekspresjonistycznego symbolizmu ku znakom antyutopii w retoryce komunistycznej, a szerzej, w konstruowaniu opozycji energetyczności języka rozszarpijącego ramy (zbyt sztywnej) poetyckiej frazy? (s.251)

Następne rozdziały to (niedokładnie już streszczam) „nienazwane niejasne” u Sebyły i „Cień człowieka” u Szenwalda. I w nich Autorka konfrontuje Sebyły doświadczenie niepoznawalności z modernistyczną obsesją (za Nyczem) niewyraźności, czyli opowiada kłopoty z doświadczeniem religijnym, i samym doświadczeniem kryzysu (myśli, kultury, psyche), co rozbuduje w studium religioznawcze, od Jamesa przez Taylora do Agambena, dotyczące zarówno „siedliska religii”, w indywidualnym doświadczeniu odmiennym od tego, co religijnie wspólnotowe (kościelne), i co dotyka samej kwestii rozterki (kryzysu, profanacji), jako – skrótowo biorąc – przeciwstawienia myślenia zimno-gorącego myśleniu letniemu. W przełożeniu zaś na Szenwalda, to modernistyczne niewyraźne przybierze – pisze Autorka – postać jakby komplikacji na poziomie symbolicznym, czyli „budzenia się demonów lęku wywołanego przez najgłębsze pytania dopiero w zawołowanej, ciemnej przestrzeni symbolu”.(s.248) I tu Doktorantka w pomysłowy sposób spina Szenwaldową nieobecność Boga w „Kuchni...” z wymilczanymi, zaniemówionymi w niej rozważaniami wokół filozofii materii, lokując tajemnice poematu (kim jest kuchcik, dlaczego w nim nie ma człowieka?) na tle współczesnych rozważań ekologii głębokiej, a też nowej humanistyki i posthumanistyki, z wizjami nieoddzielności świata ludzkiego i świata natury, a też łączliwości uczuciowej, empatycznej tego, co ludzkie z tym, co zwierzęce (w „Kuchni...” motyw „nagrobka psa”).

Ostatnia (właściwie) para odpowiadających sobie rozdziałów, to o Sebyle rozmyślania na temat metafizyki jako instrumentu pomocnego „w zobrazowaniu tajemnic ludzkiego wnętrza”, ze wskazaniem na to, że Sebyła swoje rozmyślania chętnie ubierał w kształt jakby „cytatów metafizycznych” z różnych autorów (zwłaszcza z Norwida), gdy mu się filozofia jawiła jako nierozdzielna z poetyką. Natomiast w rozdziale poświęconym Szenwaldowi Autorka przeprowadza długą i ciekawą dyskusję na temat możliwości metafizyki materialistycznej, dając przegląd stanowisk od metafizyki - niepokoju niekoniecznie religijnego (Zarębianka), przez różne odmiany duchowości (w rozumieniu mądrościowym), przez pomysły Wyki na temat współczesnych procesualnych odczuć pesymizmu, katastroficznych niepokoju i niepewności bytowej, przez jego terminy „metafizyka społeczna” czy „metafizyka przyrody”, przez literackie próby metaforycznych ogarnięć tego, czym jest świat i jak daje się przedstawić w sztuce (Schulz, Leśmian), przez wreszcie postmodernistyczne gry pojęciowe, aż do pięknej formuły-pytania: „Potrzebne będzie zatem wytyczenie unikatowej funkcji Szenwaldowej metafizyki. Czym bowiem miałyby ona być? Meta-poziomem funkcjonowania doczesnych ‘systemów przyrody’? Prawami biologii? Porządkiem nadnaturalnym?”(s.272)

I tu Autorka w ciekawy sposób „wskazuje drogę” choć nią dalej nie idzie, poprzestając (za Bogaleckim) na przedstawieniu możliwości metafizyki-teologii odjęzykowej (teolingwistycznej), czy (za Biedrzyckim) na przyglądaniu się „niereligijnej” metafizyce Szymborskiej. Jednak sama cały czas myśli w alternatywie, że jeśli nie religia to ideologia, a jeśli nie sekrety to prawa przyrody. Tzn. zawsze w rozmyślaniach skręca ku tajemnicy i ku sacrum, pytając, jak się one mogą wyrażać, powiedzmy, w światopoglądzie materialistycznym, poza intuicjami teocentrycznymi (względnie intuicjami pustego miejsca po Bogu). Tymczasem to cały otwierający się świat, w którym *anima naturaliter religiosa* swobodnie alternuje z *anima naturaliter atheia*. A otwierał się on już w dwudziestoleciu, i wcześniej, w protestach przeciw „religiocentrycznej” mentalności. Tu mieszka przecież „ksiądz” Sebyły, straszący Bogiem, i Cho-

mik Miłosza, czy Naphta Manna. Mieszkają w świecie, w którym aktualna fizyczność dramatycznie przekroczyła horyzont wczorajszej metafizyczności. Co dziś mamy jeszcze spotężniałe, zarówno w kosmogonii radykalnie skorektowanej przez teleskop Havla (już przestały), jak w duszy prześladowanej psychoanalizą (i badaniami neurolingwistów). Przy czym wcale nie idzie tu o „trywializację”, ani o pułapki „ciasnego racjonalizmu”, (dyskutowane posthumanistycznie, czy wedle przymiarek nowej humanistyki), tylko o znacznie ważniejszy azymut **orientacji** człowieczej (myślenia aksjomatycznego, myślenia o wartościach, myślenia w sensie nie warunkowym), wobec którego tak samo religia, jak „puste niebo”, czy dyskusje religioznawców o czyszczeniu ścieżek wiary przez ateizm, uległy bardzo gwałtownej archaizacji, są mapą jawnie niewystarczającą, jakby „parafalizującą” świat, gwałtownie względem niego wczorajszą. Sebyła dlatego wszak **tracił** Boga, a Szenwald zawsze myślał „w żywiołach” oraz, owszem, w filologii, ale Jego obecność, lub nie, tyleż go obchodziła co Greków.

Wokół tych kwestii krąży też, po szerokich orbitach, ostatni rozdział dysertacji, obszerne studium katastrofizmu kulturowego, polemiczne względem Andrzeja Kołakowskiego, iż on widzi katastrofizm jako laicką wersję historiozofii, gdy Autorka, przeciwnie (i w moim przekonaniu ma rację), widzi w nim postawę, w której wyobrażenia katastroficzne są właśnie funkcją **utruty** orientacji na planie historiozoficznym, utraty porównywalnej z rozterkami kryzysu wiary, czy (za Całbeckim) będącej kontekstami lęku. Nie będę już tego streszczał, odnotuję tylko pomysły wiązania katastrofizmu Sebyły raczej z poetyką zmierzającego symbolizmu, Szenwalda ze strategią (za Barthesem) „pulweryzacji”, jako niszcząco-nihilizującej pracy natury-maszyny, a obu poetów z postawami biograficznego autentyku w poezji, w którym poezja **jest** działaniem, a nie tego działania opisem, czy dyskusją. Rzecz zamyka, niby koda, pomysł „trzeciej drogi” obu poetów, w sensie aktualności dokonywanych przez nich wyborów stylów myślowych, jako np. ścieżka między hipokryzją a rezygnacją u Sebyły, czy między „niebezpiecznymi” duchami klasycyzmu a wulkaniczną energią romantyzmu u Szenwalda.

3.

Na tym zakończę przegląd wątków i pomysłów rozprawy, która, gdyby Autorka wcześniej napisała doktorat, spokojnie starczyłaby za habilitację. Jest bowiem samodzielna w panoramiczności i erudycyjności ujęć problematyki, dostrzeganej w mnóstwie odwołań, w umiejętności współ-widzenia różnych planów interpretacyjnych, a przede wszystkim w pasji drażnienia zagadnień, w filologicznej dociekliwości i pomysłowości egzegez. Nie pisałem przecież, by już nie komplikować wyводу, że streszczane przeze mnie rozdziały ujmowały swą problematykę nie wprost, ale w interpretacji wierszy obu poetów, tak, że poza świetną szkatułkową symetrią są one popisami sztuki czytania utworów. W kwestii zaś ewentualnych polemicznych uwag chcę rzec, że posuwałem się krok w krok z myślą Doktorantki, z dwóch powodów. Najpierw, że takie streszczenie daje ogłód bogactwa pootwieranych zagadnień, mówiący więcej niż afirmatywne epitety, ale i wskazuje, że wobec każdego z nich mógłbym zająć stanowisko krytyczne, dyskutując, czy np. katastrofizm Sebyły jest bardziej finalistyczny, czy raczej steruje ku pesymizmowi poznawczemu, albo czy obrazy Szenwalda z „Kuchni...” są klasycyzujące, czy archetypalne? Jednak nie w tym rzecz, by kwestionować detale rozprawy, rysującej śmiały i panoramiczny pomysł interpretacyjny. Lecz właśnie w samym pomysłu. A on inspirowało mnie do dyskusji, jednak wykraczającej poza akademickość, do dyskusji na pewno w krytycznoliterackim ujęciu arbitralnej, ale – myślę – eseistycznie ciekawej. I to drugi powód streszczenia. Bo - tak to ujmę - musiałem najpierw akademicko przemaszerować przez całą pracę (jest znakomita, wystąpię o wyróżnienie) żeby teraz móc z nią literacko zatańczyć.

Uważam bowiem, że są w niej kwestie niedowyoobrażone. Tak właśnie. Powiem najpierw o Sebyle, a potem przejdę do Szenwalda. Otóż autorka opowiada Sebyłę jako przygodę człowieka myślącego, któremu odejście Boga (jakby intelektualne uznanie ateizmu) skutkowało straszliwym potarganiem psychicznym, bo z wyobraźni Bóg nie chciał się wynieść, i rozpełtało się w niej pandemonium aniołów ukrzyżowanych przez szatana na skrzydłach diabelskiego młyna, czyli w straszny płas ruszyły widziadła wyobraźni religijnej, pozbawione porządkującej osi, Boga, bo oś wypadła, i imaginacje rozjechały się w bezratunkową pustkę-nicość kosmicznego wiru, ale dalej w niej są, huczą w „Młynach”, w tej halucynacji o duszy tracącej oparcie w religii. O tym połowicznym rozpadzie bożej materii Autorka pisze obszernie, przedstawiając rzecz w różnych wymiarach, od Nietzschego, przez Jamesa, Taylora i Kłoczowskiego, od Dostojewskiego do odmian myśli postsekularnej. Świetnie. Lecz w tym jakby „niedowidzi”, że kryzys ma u Sebyły charakter inny, niż przygoda człowieka myślącego. Mianowicie, jest przygodą człowieka piszącego (poezję), i w „Koncercie egotycznym” chodzi o to, co ma zrobić **poeta**, dla którego (gdy zwątpił) słowo **przeszło** być bożym podarunkiem, w sensie epifanicznego doświadczenia-doznania substancjalnej jedności rzeczy i przedstawienia; sakralnego dotknięcia świata w poezji (u Sebyły: „myślałeś, powiesz słowo, a świat się otworzy”). A czym być **zaczęło**? Otóż, już nie „płonącą złotą kroplą oliwy”, ale kręgami na czarnych wodach Lety, wywołanymi przez plusk kamieni lecących z zaświata (Lészmian). Słowo idące (racjonalistycznie) z myśli, a nie (religijnie) od Boga – więc za Norwidem, nie „łza boża”, ale „kamień” – wywołuje jednak ze swego „nadmiaru” kręgi na wodzie. Teraz te kręgi to poezja. Ale kamienie lecą, jednak, z tamtej strony. Czyli, chyba chodzi o to, by utraconą epifanię zastąpić **innym** rodzajem poezjotwórczego przeżycia zaświata. Jakim? Może metafizycznym rezonansem Nicości (a Friedrich rzekłby – pustej transcendencji). Może spiętrzonymi alegorezami aniołów myśli zamarzniętych w sople kosmicznego lodu bezdusznej cywilizacji? W każdym razie; jeśli zamiast Boga jest Ego, to koncert nie będzie na epifanię, tylko na epifanię negatywną, jakby post-metafizyczną. Kropla spadająca do Narwi, to słowo, które pamięta, że było kamieniem z zaświata, że roztrąca czarne wody Lety - i o tych na bezbożu słowotwórczych wysiłkach późnego Sebyły wolałbym poczytać, bardziej niż o zaślnościach postsekularyzmu. Inaczej; w dysertacji Autorki człowiek myślący (bezsprzecznie, w figurze braku Boga Ojca) wyparł człowieka piszącego, próbującego rozpaczliwie znaleźć coś zamiast epifanii, i nie dowiem się z pracy, czy coś znalazł, ani czego szukał.

A z Szenwaldem sprawa jeszcze trudniejsza. Ponieważ Autorka pisze o „Kuchni...”, że to super-poemat (zgoda!), w którym układa się filozoficzna reakcja Szenwalda na XX-wieczne doświadczenie kryzysu humaniorów, i jak to wygląda, gdy wyznaje się światopogląd marksistowski, więc materialistyczny i monistyczny. Ano, myśli się o okropieństwie bezlitosnej Matki-Natury, że miała dać oparcie, a nie daje, i o Darwinowskich tyglach z gotującą się zagładą gatunków, i o strasznych bazach, co deterministycznie pożerają nadbudowy, jak kurczaki pod nóż idą wszak całe formacje kulturowe, uprzemysłowione wojny są dla człowieka niby chicagowskie rzeźnie wobec zwierząt, na patelniach eonów smażą się konfitury kwiatów i epok („Pochodzenie węgla”). Ale, powiada Autorka, wszystko to i tak prowadzi do pytań o tajemnice, gdy zaś na nie Szenwald-filozof nie znajduje odpowiedzi (bo co monista może wiedzieć o Panu Bogu?), to Szenwald-poeta te odpowiedzi wymilcza, wymija lub rozpuszcza w halucynacji. I stąd sekrety „Kuchni...”, ten nie wiadomo kim będący arcy-kuchcik, albo nieobecny człowiek w domu z zapalonymi światłami, albo ścieżka do Natury-Hadesu. I „tocząca się w poezji Szenwalda walka między wyobcowaniem człowieka, a przynależeniem, i nie rozwiązana zagadka zagłady – każą myśleć o Szenwaldzie jako poecie metafizycznym”.

(s.273) Czyli filozof Szenwald o Bogu (albo o jego nieobecności) jednak myśli, tylko po cichu. Upraszczam celowo; idzie mi o to, że wywód Autorki, choć ma ona piękny pomysł metafizyki materialistycznej, przecież ostatecznie (bo bez pustego nieba ani rusz) skręca ku postsekularyzmowi i apofatyeczności. Gubiąc po drodze filologię. A to ważne, ponieważ Szenwald poeta ma inne, ale strukturalnie podobne problemy ze słowem jak Sebyła, i też nie w człowieku myślącym jego sekret, tylko w człowieku piszącym. Sebyła operuje słowem, które czym być zaczęło, gdy przestało być bożym podarunkiem? Rezonansem myśli porażonej nicością? A Szenwald też najpierw był obdarowany; też pisze słowem-podarunkiem, tylko materialistycznej epifanii marksistowskiej. Chcę rzec; wyobraźnia Szenwalda żyje w emocjach, których autorka nie czuje. Nie jest bowiem marksistką. Co wybaczalne. Ale szczególnie nie jest marksistką z dwudziestolecia, więc nie odbiera tej **aury**, jaką emanował wtedy marksizm. Bo to nie była doktryna. To był (dla wielu) pożar myśli, zaczarowanie i nawiedzenie, i jeśli Sebyle Bóg ofiarowuje w słowie epifanię, to słowo Szenwalda jest jakby hierofanią marksistowskiego kultu, brocząca imaginacjami natury-mitologii-historii, idącej w przemoc, tortury, nadwyrężenia, erupcje i patologie walki klas - ale czym **zacznie** być to słowo, gdy już przestanie być egzaltacją i halucynacją Rewolucjonistki? Gdy w realizmie partyjnej roboty historycznie dojrzeje, tak jak w wątkach historycznego pesymizmu „desakralizowało” się słowo Sebyły. Otóż Szenwald rozpoznaje w starych dzbanach filologii możliwość odpowiedzi na pytanie o położenie poezji w historii. Miłosz zauważył, że zaczerpnął i z Marksa i z Greków. Bo jak słowo Sebyły lokuje się ostatecznie na dnie metafizycznego pesymizmu, tak dojrzałe słowo Szenwalda lokuje się na **ostatecznym**, przemocowo-mitologicznym dnie świata. Świata-cywilizacji. Już nie tam, gdzie on się robi (tym jest kuchnia Matki) ale tam, gdzie został **ostatecznie** (w sensie historyczno-cywilizacyjnym) **zrobiony**. Tego zrobienia (to się po marksistowsku nazywa determinizm historyczny) Autorka nie wyczuwa. Cytuje kluczowy fragment „Pożegnania Syberii”, wskazując w nim na okrucieństwo natury, i w jego opiewaniu widzi „wampiryzm i immoralność” (s.249), ale niedostarczy, że to manifest poetycki, w którym marksizm tak się ma do filologii (antyku), jak Syberia do awangardy (lub innej „doktryny”). Mianowicie Syberia: „spaliła resztki zawitych wykwintów” różnych -izmów. Teraz Szenwald mówi po prostu, jak marksista do marksisty - Gallia is omnis divisa in partes tres. Została podzielona, bo ja podzieliłem, bo takie było zadanie historii, a słowa o tym mają być na jego, tego zadania, wysokości. Syberia „spaliła resztki zawitych wykwintów / i przywróciła mi postawę żołnierza / zdolnego śmierci zaprzeczyć i w polu / wydawać oraz wypełniać rozkazy”. Kropka. Nie ma w tym nic wampirycznego ani immoralnego. Jest **ostateczność** wojennej historii, i rozpoznane w niej **ostateczne** (poetycko) miejsce, już nie lejtnanta krasnej armii, ale kapitana 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. I **tym** ma być poezja. Życiowym działaniem. Osobistą epiką historii. Tak samo pisał Broniewski. „Potrzebne mi dobre buty, żeby w nich dojść do Warszawy”. Do tego można dołożyć i cezariańskie zdanie i herbertowskiego poetę klasyka („Tukidydes mówi tylko / że miał siedem okrętów / była zima / i płynął szybko”) i poezję proletariatu, i co się chce, ale chodzi o to, że Autorka doskonale rozpoznaje inno-podobieństwo reakcji obu poetów na kryzys humanistycznych gwarancji sensu (w figurach Ojca i Matki), ale nie akcentuje, a szkoda, swoistej strukturalnej izomorficzności ewoluowania ich słowa poetyckiego, wyrywającego się z reszduów umierającej poetyki symbolistycznej (nawet galwanizowanej marksistowskimi egzaltacjami), ku nowej dykcji „nagiej” ostateczności. Być może zresztą dla Sebyły nagiej post-metafizycznie, a u Szenwalda umundurowanej epicko i tyrtejsko. Opisu tej „drogi” obu poetów trochę mi w pracy brakuje, bo nie jest nią katastrofizm kulturowy, tzn. nie spekulacja historiozoficzno-metafizyczna, ale ruch ku poezji zapowiadającej jakby Różewicza, dla Sebyły, a dla Szenwalda... - nie wiem, może coś

pomiędzy świadectwem ocalającym Miłosza, a lodowatą stylistyką późnych wierszy Borowski. Warto pomyśleć, co pisałby Szenwald zdemobilizowany, bo w wojsku używał poezji (agitacyjnej) do ćwiczeń z regulaminu musztry – podporządkowywał ją bez reszty dyscyplinie żołnierza i oficera.

Tyle uwag „nieakademickiej” dyskusji, za które o tyle wdzięczny jestem Autorce, że odniesienie się do jej rozważań pozwoliło mi spiąć intuicje niełatwe do wyrażenia w jakiejś uczenie steoretyzowanej postaci. A przecież są to sprawy zasadniczej wagi dla dyskusji o poezji „wyrywającej” się z rozmaitych kołysek, przed samą wojną i w jej trakcie, co Autorka na przykładzie Kwadrygi bardzo sugestywnie przedstawia. Przedstawia w dysertacji metodologicznie wieloaspektowej, błyskotliwej interpretacyjnie, doskonale zdokumentowanej i ujętej w narrację studium historycznoliterackiego, odkrywającego przestrzeń duchową (po trosze) zapomnianej formacji pokoleniowej. Rozprawa prowadzi czytelnika krok po kroku fascynujących dociekań, ma epicki oddech, a interpretacje pociągają odkrywczą komentarza. Wymienione powody – szerokość ogarniętego materiału, precyzja wniosków, naukowa przejrzystość i atrakcyjność wyводу, bogactwo dokumentacji – sprawiają, że dysertacja **zasługuje na wyróżnienie. Taki też wniosek, o wyróżnienie pracy, niniejszym formułuję.**

Uznając tym samym za oczywiste, że dysertacja doktorska mgr Magdaleny Amroziewicz odpowiada w całej rozciągłości wymogom stawianym tego typu rozważaniom. Z głębokim przekonaniem zatem wnioskuję o dopuszczenie pani mgr Magdaleny Amroziewicz do dalszych etapów przewodu doktorskiego. Stwierdzam też, że recenzowana rozprawa spełnia warunki ustawowe określone w art.13 ust.1 *o stopniach naukowych i tytule naukowym, oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki* ponieważ zgodnie z wymogami ustawy stanowi oryginalne rozwiązanie problemu naukowego, wykazuje ogólną wiedzę teoretyczną Kandydata oraz umiejętność samodzielnego prowadzenia pracy naukowej.

Prof. dr hab. Andrzej Zieniewicz